


# Bieszczadzka ośmiornica - wczoraj i dziś

Bieszczady to była taka XX-wieczna odmiana urianchajskiej tajgi i Dzikich Pól, kraina pokrytych burzanem pogorzeli, podmokłych zarośli i oceanów stepowych traw. To było to, co należało chronić, ocalić dla przyszłych pokoleń. Stawały się atrakcją turystyczną na skalę kontynentu. Spotkać w nich można było Brazylijczyków, Japończyków i Irlandczyków.


Nieopodal cmentarnego wzgórza nad Terebowcem, po drugiej stronie potoku, na niedużej  łące w początkach lat 60. w okresie wakacji rozstawiano studencką bazę namiotową. Z niej wyruszały wycieczki na Połoninę Caryńską, Tarnicę, na Halicz, skąd nocami wypatrywano świateł Lwowa i Budapesztu.

Ustrzyki leżały wtedy za siedmioma górami i lasami. Do najbliższej piekarni w Lutowiskach połączyła wąską drogą było dwadzieścia parę kilometrów i niezliczona ilość przepraw przez zawsze lodowato zimny Wołosaty.

Zaledwie parę lat wcześniej Związek Sowiecki wymusił wymianę rzekomo roponośnych terenów na północ od Sanu i Otrytu za bogaty w doskonały węgiel kamienny i chyba również uran rejon Hrubieszowa i Tomaszowa. Przesiedlono kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ich dramat i krzywdy, wcale nie mniejsze niż ofiar sławetnej Akcji "Wisła", komunistyczna propaganda zatuszowała skutecznie. Polskich chłopów gospodarujących na pszenno-buraczanej ziemi, posiadaczy krytych blachą domów - co było w międzywojniu oznaką zamożności - rzucono w ostępy leśne *bieszczadu*. Do ruin wsi, w których dominowały kurne chaty.

Zmasakrowane przez specjalne oddziały NKWD niedobitki *strilców* Ukraińskiej Powstańczej Armii utraciły ostatnią redutę. Gdy umilkły strzały, nasiąknięte pobratymczą krwią góry zaczął zaludniać dziki zwierz. Z roku na rok nie uprawiane poletka lichej, nieurodzajnej ziemi zarastały coraz bardziej. Olcha, jałowiec, wszelaki leśny chwast od prawieków stanowił na tej ziemi naturalną forpocztę szlachetniejszych gatunków: buka, świerka, jodły, jesionu. Rozległe połacie nadszańskich łąk - gdy zabrakło kosiarzy - zarastając wysoką do pasa trawą, zamieniały się w środkowoeuropejskie pampasy. Wkrótce ktoś wpadł na pomysł, by wykorzystać te tereny w ramach "gospodarki planowej".

Sezonowy wypas bydła należał do serii żalonych happeningów gospodarczych jakie zafundowano tej umęczonej ziemi. Komunistyczna doktryna w pokracznym PRL-owskim wydaniu nakazywała "zagospodarować" Bieszczady, wzorem radzieckich towarzyszy, którzy w tym czasie "zagospodarowywali" stepy Kazachstanu. Ekonomiczny nonsens sezonowego wypasu prowadzonego z drugiego krańca Polski była potwierdziła podobna, ale nieco dłużej się utrzymująca operacja wiosennych redyków przywożonych z Podhala owiec. Trudy transportu i choroby nizinnych ras zwierząt, nienawykłych do wielodniowych opadów deszczu i plag gzów, dziesiątkowały stada. Resztę załatwiały wilki i niedźwiedzie.

Po doświadczeniach wynikających z tłumienia wolnościowego zrywu Węgrów w 1956 r.,  Imperium Sowieckiemu potrzebne były prowadzące przez karpackie przełęcze drogi do transportu czołgów i wojskowego sprzętu na południe Europy. W 1962 r. ukończono zbudowaną przez jednostki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego 144-kilometrowej długości asfaltową szosę z Leska przez Baligród, Cisną, Ustrzyki Górne, Lutowiska i Czarną do Ustrzyk Dolnych i Krościenka.


Obwodnicą ruszyła fala osadnictwa. Stanowiła ją nieprawdopodobna zbieranina różnego autoramentu obwiesi, łazęgów, amatorów łatwego życia i najzwyczajniejszych kryminalistów. Władza

ludowa dawała ziemię i szybko umarżane kredyty oraz zapewniała wszelaką pomoc, jeśli kandydat spełniał podstawowy warunek - popierał władzę i kochał Partię oraz nie miał rodzinnych więzów z dawnymi mieszkańcami tej ziemi.

Sprowadzało się to do tego, że kandydat na osadnika nie miał - bo i nie mógł mieć - zielonego pojęcia o gospodarzeniu w *sanockich górach*, jak przed wiekami nazywano Bieszczady. Okres wegetacji jest w nich znacząco krótszy niż na obszarze reszty kraju, a teren ten to biegun deszczowych opadów. Ci zaś, którzy byli potomkami Bojków czy Łemków przesiedlonych na tzw. Ziemię Odzyskane, do końca PRL-u bali się pojawiać na ziemi ojców i dziadów. Rezultaty tak pomyślanej "akcji" wiadome były już od samego początku. Jak najbardziej dosłownie w bieszczadzkie błoto wyrzucono z państwowego budżetu kwotę znacznie przekraczającą nakłady inwestycyjne wyłożone na budowę trójmiejskiego Portu Północnego. Efekty osiągnięto bliskie zeru.

Następnie przyszła moda na fermy i "kolorowy zawrót głowy". W tych pierwszych zamierzano hodować opasy. Na Połoninie Wetlińskiej, na Krywem, w Łupkowie i w wielu innych najpiękniejszych miejscach *bieszczadu* wzniesiono tandetne, rozsypujące się już po paru sezonach gigantyczne obory typu "hokejki". Brak paszy zimą dla dziesiątków tysięcy sztuk czworonogów powodował konieczność jej dowożenia transportem samochodowym po oblodzonych górskich drogach z odległości setek kilometrów. Kilogram wyprodukowanego żywca kosztował w efekcie parokrotnie więcej niż z identycznych ferm na nizinach. Obficie dotowana produkcja smrodu i zwierzęcego nieszczęścia trwała prawie do początków solidarnościowych rządów. Budżetowych pieniędzy nie starczyło już niestety na wywózkę eternitowych, nasyconych azbestem pokryć dachowych i pozostałego po "hocejkach" gruzu.

Barwnym fajerwerkiem idiotyzmu zabłysnął pomysł pewnego dziennikarza, aby Bieszczady, których najwyższy szczyt Tarnica ma zaledwie 1348 m.n.p.m., uczynić centrum sportów zimowych. To, że zalesione zbocza gór nie nadają się do długich narciarskich zjazdów a pokrywa śnieżna - z uwagi na liczne wiodące na południe przełęcze, przez które wieją ciepłe wiatry - leży tu wyjątkowo krótko, pomysłodawcy nie przerażało.

Przy "gospodarce" leśnej i łowieckiej cudzysłów należało by postawić co najmniej podwójny.  Nie zwracając uwagi na opinie naukowców o konieczności zachowania naturalnej sukcesji gatunków, zawzięcie tępiono olchę szarą (zaprzęgając do tego zajęcia nawet więźniów) i karczowano całe połacie wspaniałej puszczy, aby posadzić jodłę - odmianę, która i tak nie miała szans w tych warunkach klimatycznych i glebowych na prawidłową bonitację. W latach, gdy cała cywilizowana Europa zaczęła wilka uważać za zwierzę chronione, u nas ustanowiono wysokie nagrody za jego tępienie.

Myśliwskie hobby wierchuszki partyjnej nomenklatury PRL-owskiej, dla której wydzielono specjalne obwody łowieckie domagało się maksymalnego zwiększenia pogłowia jeleni. Wprawdzie na krótko udało się to zrobić, ale jelenie byki dające imponujące trofeum wystrzelano jeszcze szybciej. Dziś zwierzyny płowej nad górnym Sanem jest mniej niż w podwarszawskich lasach i na pewno nie wilki są temu winne.

Bardzo długo trwało zanim rozczłonkowany na parę fragmentów obwodnicą Bieszczadzki Park Narodowy nieco powiększono. Lokalne układy i żenujące decyzje ministra Hortmanowicza, eksperta od tępienia łosi, spowodowały, że obecnie park narodowy traktuje się jako obszar, po którym powinny jeździć zaprzęgi huculskich koników ciągnących malowane na kolorowo drabiniaste wozy z turystami.

Gdy przed ćwierćwieczem pisaliśmy z Januszem Rygielskim książkę "Spór o Bieszczady" mieliśmy

jeszcze złudzenia. Nie straciliśmy ich nawet wtedy, gdy większość nakładu decyzją wszechwładnego wówczas I sekretarza KW PZPR została przeznaczona do spalania.

Udało się nam jednak dotrzeć do samego towarzysza Edwarda Gierka. Wysłuchał i zrozumiał, że najlepszą inwestycją w Bieszczadach byłoby nie inwestowanie w nich. Pozwolił książkę wznowić. Wznowiono. Pozostawienie skrawka kraju dla tych, którzy wędrują z plecakami i uwielbiają sypiać gdzieś w leśnej kniei, a nie na polu kampingowym przy rurze wydechowej samochodu sąsiada, mogło być opłacalne dla gospodarki i przyrody.

*Bieszczad* - karpacka dżungla zadziwiła i zachwycała swego czasu sir Johna Hunta, zdobywcę Mont Everestu, oraz pewnego księdza o znanej dziś na całym świecie twarzy, z którym kiedyś razem suszyliśmy wibrany przy płonącym ognisku pod Hnatowym Berdem.

W dobie komercjalizacji i liberalizacji zagrożenie dla nędznych szczątków bieszczadu przyniosła... ośmiornica, czyli mozolnie budowany system najdziwniejszych układów i rodzinnych powiązań, w którym celują potomkowie przesiedleńców z rejonu Hrubieszów-Tomaszów. Oni tak naprawdę nadal rządzą w Bieszczadach. Dziwnym zbiegiem okoliczności w większości są synami byłych funkcjonariuszy UB, zaangażowanych swego czasu w obronę "władzy ludowej".

Dla nich jeszcze dziś każdy mieszkaniec tych gór przed ludobójczą Akcją "Wisła" był bandytą z UPA, a bieszczadzki las był i pozostał nienawistnym wrogiem. Klimat rodzinnego domu i wyniesiony z niego system wartości zdecydował o mentalności tych ludzi. Wschodnio-Karpacki Rezerwat Biosfery, Park Krajobrazowy Doliny Sanu, ekologia i użytki ekologiczne, konieczność poszerzenia granic Bieszczadzkiego Parku Narodowego i jego otuliny - tak naprawdę nikogo ze znanych mi decydentów nad Sanem i Strwiążem nigdy nie interesowały i nie interesują. Chyba, że będzie można przy tej okazji załapać jakąś dotację, etat dla szwagra czy pociotka.

Szczególnego rodzaju wzorcem poczynań elit władzy sprawującej rządy w bieszczadzkich gminach są notable z Lutowisk. Największej, najrzadziej zaludnionej i najbardziej lesistej gminy w Polsce. Wójt tej gminy, jak fama głosi kandydat na kolejnego dyrektora Bieszczadzkiego Parku Narodowego, nie może dostrzec niczego niewłaściwego w instalowaniu stalowych retort do wypału węgla drzewnego w otulinie parku narodowego i sąsiedztwie rezerwatów przyrody.

Proces suchej destylacji drewna polega na jego termicznym rozkładzie bez dostępu powietrza. Do temperatury 160 stopni C z drewna wydziela się jedynie para wodna, a jeśli procesowi poddajemy drewno z drzew iglastych również olejki eteryczne. W temperaturze od 170 do 250 stopni drewno ciemnieje i pojawiają się niewielkie ilości gazów zawierających zabójczy tlenek węgla i dwutlenek węgla, a powyżej tej temperatury również metan, etylen, butylen, acetylen i pary ciekłych węglowodorów. Dalszy rozkład drewna zachodzi już na drodze reakcji egzotermicznej bez konieczności ogrzewania, przy czym w przedziale temperatur 350-440 stopni C wydziela się benzen, toluen, fenol (kwas karbolowy), parafina i pozostałe składniki smoły drzewnej.

Do niedawna wypalano drewno, celem uzyskania węgla drzewnego i smoły, w obsypanych ziemią kopcach nazywanych mielerzami, wg technologicznego know-how znanego co najmniej od czasów Mieszka I. Lokowano je z dala od ludzkich siedzib w głębi przepastnych puszczy. Wiecznie umorusanych, podobnych do diabłów z ludowych podań ludzi zajmujących się tym rzemiosłem obawiano się i gardzono nimi jednocześnie. Ze sprzedaży spławianego Wisłą do Gdańska potażu uzyskiwano jeszcze w XVIII w. znaczne dochody. Miał je na uwadze biskup Ignacy Krasicki pisząc: "Gdyby nie było potażu/ Nie byłoby ekwipażu/ Skarb to nie dosyć wielbiony/ Z popiołów mamy galony".

Rozpad Jugosławii, głównego do niedawna dostawcy węgla drzewnego, dał szansę naszym producentom. Ponieważ można zarobić naprawdę duże pieniądze, sprawą zajęły się doskonale zorganizowane, nazwijmy to tak, grupy towarzyskie. Zajmujących się węglowo-drzewnym biznesem los bieszczadu i przyrody tej unikalnej w skali całego kontynentu krainy nie interesuje. Zyskowy proceder jest możliwy dzięki:

- nie wykazywaniu prawdziwej ilości drewna zakupionego z przeznaczeniem na wypał;
- ubezpieczeniu zaledwie co trzeciego z zatrudnianych;
- bezlitosnemu wykorzystywaniu cudzoziemców z krajów b. ZSRR;
- nie przestrzeganiu elementarnych warunków BHP;
- natychmiastowemu zwalnianiu pracowników, którzy zaczynają chorować;
- nie wykazywaniu faktycznej wielkości produkcji, a więc i zysku, co przekłada się na mniejsze opodatkowanie;
- luce w obowiązujących przepisach, zgodnie z którymi stalowa retorta nie jest uznawana za obiekt wymagający spełnienia warunków określonych w prawie budowlanym.

A przecież sprawa wydaje się banalnie prosta. Wystarczy tylko zinwentaryzować działające w sezonie na okrągło retorty, chociażby tylko te stojące na granicy parku narodowego nad potokiem Hulskim, przy ostatniej już chyba w Europie ostoji węża Eskulapa, w jarze Tworylczyka, na Zawoju, w Żernicy i w paru dziesiątkach miejsc. Pomnożyć przez ilość pracowników, jaka musi być zatrudniona przy ich obsłudze i ilość fakturowanego na eksport i do użytku w grillach gotowego produktu.

Istnieje jeszcze ludzki, humanitarny wymiar tego procederu. Praca smolarzy XXI wieku w warunkach, w jakich się odbywa w Bieszczadach jest bardzo niebezpieczna dla zdrowia. Jak najbardziej dosłownie. Większości tych, co przez dłuższy czas pracowali "na wypale" jeszcze dekadę temu, już od dawna nie ma wśród żywych. Ludzie ci narażeni byli na szkodliwe oddziaływania smoły na skórę, powodujące nigdy nie gojące się oparzenia rąk i najgroźniejsze odmiany raka. Napuchnięte twarze i szyje pokrywa chorobliwy rumień. Produkowany ze smoły potażowej olej kreozotowy zawiera fenole trwale uszkadzające centralny układ nerwowy, powodujące uporczywe bóle głowy, duszności, sinice, żółtaczkę. Pary oleju terpentynowego wywołują zapalenie spojówek, podrażnienie błon śluzowych ust, stany podniecenia, senności, uszkodzenia nerek, zapalenia pęcherza. Ocet drzewny jako jeden z produktów suchej destylacji zawiera alkohol metylowy. Zatrudnieni przy retortach są narażeni na wdychanie jego oparów, co powoduje zaburzenia psychiczne, porażenie nerwów wzrokowych i słuchowych.

Lokowanie chociażby tylko na jeden sezon chałupniczych fabryk chemicznych nie posiadających oczyszczalni ścieków, zakażających ziemię, atmosferę i ludzi jadowitymi truciznami w obszarach cennych przyrodniczo jest ewidentnym przestępstwem. Takim samym, jakim byłoby ustawienie retort w warszawskich Łazienkach czy Parku Wilanowskim.

**Wielogłowa, żerująca na wypałach ośmiornica dawno już oplotła lokalny wymiar sprawiedliwości, urzędy skarbowe, referaty zatrudnienia itp. Jej ramiona sięgają daleko. Naiwni usiłujący z nią walczyć napotyka ją tylko drwiące uśmiešky różnego szczebla bardzo ważnych biuralistów. A mogło być w Bieszczadach tak wspaniale. Europejsko, światowo, ekologicznie.**

**Witold St. Michałowski**